

Janusz Jaroszewski – Rozdział 8

Walka postu z karnawalem...

- Adaś, przepraszam, że musiałeś czekać, ale sam wiesz, jaki jestem zajęty.
- Nic nie szkodzi panie profesorze. Jasne, że rozumiem.
- No dobrze, to zabierajmy się do roboty, gdzie ją położyłeś?
- Tam na korytarzu, oparłem o ścianę.
- Ale przesun ją ze stońca, bo nic nie widać.
- Ok, robi się.
- I co, jesteś zadowolony?
- Bo ja wiem, mogło być chyba lepiej?
- Dlaczego ma tak dziwnie przekrzywioną głowę?
- Bo ma kark skręcony.
- Aha, to tego już nie poprawiamy... to była jakaś znana osoba?
- Nie. Zwykła studentka.
- Ale z krwią ciekącą z ust to chyba przedobrzyłeś, zetrzyj trochę z posadzki i może też z jej szyi.
- Tak profesor uważa?
- No tak, nie ma co przesadzać... i wiesz co, jej oczy...
- Tak?
- Są zbyt wytrzeszczone... odwracają uwagę od całości. Chyba bym wolał, żebyś je wydlubał.
- Zostawić takie puste oczodoły?
- Chyba tak będzie lepiej, bardziej sugestywnie.
- No dobrze, pomyślę o tym. A tak w ogóle... co profesor sądzi?
- Wyszło fajnie, naprawdę jest bardzo odstręczająca.

Tu Michał Bury spojrzał na Adama, a ten, zmieniając temat zapytał:

- A kiedy zagramy w szachy? Obiecał pan.
- Trochę boję się z tobą grać... no, ale faktycznie obiecałem. Jakoś się jeszcze umówimy.
- To dziękuję i do zobaczenia.
- Do zobaczenia, a kiedy przyniesiesz następną?
- Może uda mi się ją zrobić za tydzień.
- To będzie też studentka?
- Jeszcze nie wiem. Zobaczę.
- To do zobaczenia za tydzień. Naprawdę czynisz postępy Adaś.
- Dzięki.

Profesor zrobił około dziesiątej rano korekty studentom pierwszego roku, a potem poszedł na górny korytarz do Adama – studenta czwartego roku malarstwa. Adam, podobnie jak jego nauczyciel, był wyczulony na absurdalność rzeczywistości, w której przyszło mu żyć i na panoszące się wokół zło. Był zobrazować swoją frustrację od przeszło roku skupiał się wyłącznie na ofiarach przestępstw. Motywy do obrazów czerpał z baz danych policji i z internetu.

W sekretariacie rektora, przemiała pani Ania przekazała Buremu informację, iż umówiła go telefonicznie na spotkanie z przedstawicielem firmy „Szatan”, w ich siedzibie – budynku znajdującym się na rogu ulicy Świdnickiej i Kazimierza Wielkiego – tuż obok podziemnego przejścia. Wizytę ustaliła na godzinę trzynastą. Miał zatem około pół godziny, by tam dotrzeć. Cel wiadomy – uzupełnienie i zamknięcie akt sprawy kolegi Bażanta.

Rzecznik, nie zwlekając dłużej, bo czasu miał niewiele, ubrał palto, zabrał teczkę z dokumentami i udał się piechotą we wskazane miejsce, które jak się okazało było w samym epicentrum dziejących się aktualnie w mieście wydarzeń.

Wychodząc ze szkoły, zauważył jeszcze ze smutkiem fakt zniknięcia z holu na pierwszym piętrze: kilku wypalonych zniczy, obu czarnych wazonów z uschniętymi chryzantemami i dwóch „żałobnych” ramek z czarno – białymi portrecikami. Nastroiło go to ponuro i melancholijnie, a oba te uczucia spotęgował jeszcze widok rzeki, na którą spozbrał zaraz po wyjściu z Uczelni.

Tego pamiętnego czwartku, dnia 10 października Roku Pańskiego 2013 po południu rzeka była szara jak ołów, złowrogo kipiąca szerokimi zakolami brudnej piany. Posmutniałe niebo potęgowało wrażenie wilgotnego chłodu. Wypływały ulice i zmętniałe kontury budynków zdawały się tonąć w jakimś odrealnionym, przygnębiającym śnie.

W tym oto kiepskim oświetleniu, ponurej aurze i lichej scenografii odbywał się w centrum miasta narodowy spektakl złożony z paru demonstracji – swoista społeczna tragifarsa. Metaforyczna rywalizacja między zapustami a postem – jakby żywcem przeniesiona z obrazu Pietera Bruegela: *Walka karnawału z postem* namalowanego w Roku Pańskim 1559 we flamandzkiej Antwerpii. Najwyraźniej nic się przez te niemal pięć wieków nie zmieniło. W dalszym ciągu żarłoczna żywotność jednych zmagala się z ascetyczną wiarą innych. Patetyczna do granic absurdu żałoba rywalizowała z ostentacyjnym do obrzydzenia ekshibicjonizmem mniejszości światopoglądowych, społecznych i seksualnych, a też nachalnym nacjonalizmem „prawdziwych patriotów”.

Jedni obłapiali się publicznie w lubieżnych uściskach, a inni w imię wzniosłych, religijnych przykazań odpychali inaczej myślących od siebie lub wręcz tłukli ich bez litości w „obronie” matki ojczyzny, która wcale przecież nie była w nagłej potrzebie.

Podczas gdy w Rynku trwały pogańskie bachanalia w rytmach techno i samby, to już niecałe trzysta metrów dalej, pod kasynem przy ulicy Świdnickiej, grupy pątników wznosiły do nieba głośne modły o dusze „poległych” we wiadomym lotniczym „zamachu” – była to wszak 41 miesięcznica tej narodowej tragedii.

Jeszcze dalej, już za ceglany kościołem *Bożego Ciała* – w pobliżu pomnika króla Chrobrego siedzącego na tłustej kobyle – jedyna prawdziwa (przynajmniej w swoim mniemaniu) „patriotyczna siła” – OP&ON-a paliła dymne ogniska ze starych opon tu przywleczonych i waląc prętami o puste beczki po piwie skandowała rytmicznie i głośno: *Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!*

Tu ostentacyjnie szydzono i drwiono z prawd objawionych, tam roniono wymuszone, „chrześcijańskie” łyzy, a jeszcze dalej toczono z pijanych pysków pianę pogardy.

Donośny rytm bębnów „parady równości” mieszał się w tym chłodnym, wilgotnym i zac zadzonym od dymnych opon powietrzu z głośnym zawrozczeniem „pątników” wywrzaskujących monotonnie nabożnie religijne pieśni, a te smętne pienia przechodziły z kolei w posępne i groźne dudnienie dobywające się z pustych, choć pełnych nienawiści metalowych beczek.

Tak się działo, ponieważ każda z wymienionych grup chciała być lepiej od innych słyszalna. I to pragnienie było tym jedynym elementem wspólnym, który je spajał. Efektem zaś owego „spojenia” był niewiarygodny jazgot nakładających się na siebie dźwięków, który w sposób doskonały, choć bardzo męczący, symbolizował najgłębszą naturę człowieka.

Na obu scenach owego „błazeńskiego” teatrum – w strefie karnawałowej, a także tej postnej (jak u Bruegela) trwał w najlepsze chocholi taniec i jarmark próżności. Odbywały się tu równolegle liczne prezentacje: siermiężnego patriotyzmu, groteskowej, ludycznej farsy, burleski prosto z pralni; a pobożnisie, zaopatrzeni we współczesne wielkopiątkowe klekotki – megafony, występowali w karykaturze misterium rodem prosto z piekła.

Zmierzając wprost do siedziby „Szatana”, ulicą Wita Stwosza, potem obrzeżami Rynku i Świdnicką do podziemnych schodów – Michał Bury wkraczał stopniowo w gęstniejący tłum przebierańców: gejų i lesbijek z obowiązkowymi miotełkami do kurzu w kolorach tęczy. Byli tu transwestyci paradujący na szpilkach, kobiety pokazujące niezbyt urodziwe cycki w imię słusznej idei: *Stop przemocy*, widział też kilku polityków walczących o: *Wolne konopie* i paru innych (z lewicy) zabiegających tylko o swoje kariery. Spacerowali też całkiem zwykli przechodnie, różni ciekawscy, których nigdy nie brakuje. Byli jak zawsze grajkowie uliczni, żebracy dorabiający do lichych emerytur lub zbierający „co łaska” na piwo, rumuńskie natrętne dzieci i stali klienci ogródków piwnych. Było tłoczno, gwarnie i pstrokato, a pośród tego barwnego tłumu przemykały się czujnie studentki z różowymi parasolkami łowiące podstarzałych, nadzianych frajerów do zabawy w kilku pobliskich klubach go – go (tych ze striptizem i bardzo, ale to bardzo drogimi drinkami).

Profesor nie dał się zaciągnąć żadnej, choć niektóre z „przynęt” bardzo nalegały. Przedzierał się przez zatłoczone centrum mijając kolejne przybytki z ciuchami drugiej świeżości, jakieś kebaby, plackarnie, pralnie, bary, liczne stragany... Zewsząd atakowały go reklamy powieszzone w chaotycznym nieładzie

na wszystkich elewacjach, przyklejone taśmą klejącą do latarni i witryn mijanych sklepów. Stopniowo, im bardziej oddalał się od Ratusza, otaczający go tłum jakoś szarzał i mroczniał, mijani ludzie stawali się coraz starsi, biedniejsi i coraz smutniejsi. Niektórzy trzymali w rękach krzyże, obrazy z Chrystusem Królem, ktoś przez megafon intonował: *Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie*, oddawano się też pod opiekę Najświętszej Pani, ktoś klękał nabożnie, ktoś całował obecnego tu prałata w rękę. Były też zakonnice, jakieś relikwie: szczątki samolotu i kawałki brzozy (której podobno przecież TAM nie było!). Wreszcie Michał dotarł do przejścia pod ulicą króla Kazimierza zwanego Wielkim i tu zstąpił do podziemi... a tam, w jakiejś wnęce, ujrzał ulicznego grajka, który, jak to bard, siedział w wytartej odzieży i nucił przygrywając sobie na starej gitarze song Jacka Kaczmarskiego: *Boże chroń mnie od nienawiści, od pogardy chroń mnie* – utwór dawniej tak popularny, a dziś tylko wymowny. Wrzucił mu Bury do kapelusza banknot – 20 złotych na zapustną kiełbasę... albo postnego śledzia. Stał tu jeszcze chwilę, wysłuchał do końca tej jakże potrzebnej mu dzisiaj modlitwy, a potem, gdy grajek zamilkł, wspiął się po schodach na parter tutejszej babilońskiej wieży.